

ABC literacko-artystyczne

Staly dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Plaseckiego

Kazimierz Kalinowski

Ze wspomnień o Kasprowiczu

Przeniesienie zwłok Kasprowiczu do grobowca na Harendzie przypomni znowu społeczeństwu wielkiego poetę, którego nasz ogół zna dotychczas niestety tak mało. Otóż chciałbym skorzystać z tej okazji wznowionych w kraju rozmów na temat bujnej twórczości Kasprowiczu, by do jego biografii dorzucić cokolwiek z własnych wspomnień, zwłaszcza, że znałem go bliżej w okresie jego życia najmniej głośnie, bo jeszcze przed sławnymi Hymnami, znałem go jako dziennikarza.

Wiadomo, że młody Kasprowicz, chroniąc się przed prześladowaniem politycznym w zaborze pruskim, uszedł do ówczesnej Galicji, osiadł we Lwowie i dla chleba zaprzął się na długo do ciężkiej roboty dziennikarskiej. Pracował w redakcji „Kurjera Lwowskiego” za Rewakowiczem i Wyslouchem. Pracował w tym „Kurjerze” przez kilkanaście lat bez przerwy pod koniec ubiegłego stulecia i jeszcze z początkiem wieku bieżącego, zanim przeniósł się do redakcji „Słowa Polskiego”, a stamtąd na katedrę literatury porównawczej w uniwersytecie lwowskim.

Jego pobyt we Lwowie łączy się więc w znacznej mierze z „Kurjerem”. A nie był bynajmniej w gronie redakcyjnym — poetą. Niestety, był tam dziennikarzem, był takim pracownikiem „do wszystkiego”, jak wogóle z tych czasów dziennikarze galicyjscy, co umieli, bo musieli umieć wszystko robić w warsztacie redakcyjnym i nie rozporządzali jeszcze specjalistami do poszczególnych działów; to też z pod ręki każdego z nich w owe lata wychodził w razie potrzeby cały numer dziennika, od artykułu wstępnego począwszy, poprzez wszelkie przeglądy i feljetony, recenzje i sprawozdania, kroniki i rozmaitości, aż do telegramów i giełdy. Takim robotnikiem w rzemiośle redakcyjnym był z konieczności i wielki Jan Kasprowicz. Dziś twórczość jego rozpatrując, trzeba i o tem pamiętać. A w tym celu właśnie przytoczę tu ze swych skromnych wspomnień przyczynek może nieobojętny dla badaczy autora „Pieśni Wieczornej”.

Było to w czasie gdyśmy poznawali dopiero pierwsze jego hymny. Kasprowicz naówczas pracował w „Kurjerze”, ja zaś — na krótko przed przeniesieniem się do Warszawy, byłem jeszcze sekretarzem redakcji „Słowa Polskiego” za Szczepanowskiego i Romanowicza. Pamiętam, siedziałem pewnego wieczora w kawiarni z serdecznym przyjacielem i najdawniejszym kolegą w zawodzie dziennikarskim, Antonim Chołoniewskim, tak później rozgłośnie w Polsce publicystą, gdy przypadkiem zaszedł tam Kasprowicz, wracający w roli sprawozdawcy „Kurjera” z jakiegoś procesu czy zgromadzenia.

Był podniecony, nawet wzburzony. Kiedy przysiadł do naszego stolika, Chołoniewski zasympał go słowami zachwytu z powodu któregoś z Hymnów cudopiero wydrukowanego. Ten zachęcał się na to. Próbował zrazu ironizować, że tam skąd wraca — nie było żadnego hymnu, że przychodzi unurzany po uszy w prozie życia. A kiedy tyknął czarnej kawy, jął głośnie drwić, że człowiek przykuły do tacki, zawsze ma obie ręce zajęte, on zaś właśnie tak żyje latami, nie ma więc kiedy oddawać się niepodzielnie poezji. I długo na ten temat rozprawiał, że dla poety dziennikarstwo jest katorgą, a tylko złudzeniem byłoby przypuszczać, że talent zawsze sobie poradzi sam w warunkach niesprzyjających i od tych ciężkich robót potrafi się w jakichś chwilach wolnych odebrać, by stworzyć coś wartościowego. coś nie dziennikarskiego.

— Nieprawda — wołam — nie można, bo pchając przed sobą taczkę w redakcyjnej robocie dniami i nocą, trzyma się ją oburącz!

Zalił się, że w Polsce poeta mu-

si dla chleba być tylko albo urzędnikiem albo dziennikarzem, a biuro wszelkie jest dla poezji zabójcze. Najniebezpieczniejszy jednak to właśnie młyn gazety codziennej. I wyliczał po nazwisku poetów, którym skrzydła obtarły te kamienie młyńskie po różnych redakcjach.

— Przy takiej taczce — powtarzał, uczepiwszy się myśłą owego porównania — żaden talent twórca nie poradzi sobie... Chyba geniusz!...

A kiedy padło to ciężkie słowo cisza między nami nastała. Po chwili przerwałem ją, zaczawszy opowiadać, jak to on szereg lat przedtem, gdy w „Kurjerze Lwowskim” drukował on pierwsze utwory poetyckie, rozmawiałem o nich często z Marją Wyslouchową, żoną redaktora Bolesława; jak to ona z właściwym sobie entuzjazmem, którym w dysputach patriotycznych wśród konspiracyjnej młodzieży tak nas umiała porywać, jąla zapewniać, że przed Kasprowiczem sława wielka się już ściela, że brak w jego wierszu gładkości, że ta brylowatość jego poezji — przypominająca raczej ciosy granitowe młotem zgruba wykowane, niż dłym rzeźbiarza subtelnie obrabiane.

że wszystko zapowiadające w nim jakiś nieokiełznany wybuch rozruchanego żywiołu, znamionować musi cechę genialności.

Wiedział wprawdzie Kasprowicz, że w recenzjach z jego poezji, świetna wróżyła mu przyszłość pierwsza właśnie Wyslouchowa i czcił ją, jak wszyscy, którzyśmy bliżej znali tę działaczkę narodową. Jednakże uderzyło go bardzo to, co mu teraz po latach z ust jej powtarzałem. Słuchał, brwi ściągając w coraz większym zamyśleniu i szarpiąc fontań czarnego krawatu. A kiedy po tej rozmowie miał odejść od nas, stał jeszcze długo w zadumie milczący i w przeciwnieństwie do poprzedniego ożywienia dziwnie melancholijny.

Dziś już oni obaj, jak i Wyslouchowa, w grobie. Ale mam jeszcze żywo w pamięci ową w kawiarni lwowskiej chwilę, kiedy Kasprowicz z charakterystycznym kosmykiem włosów na czole, nasadziwszy na tył głowy miękki kapelusz czarny z szeroką kresą, stał w pelerynie związanej mu z ramion barczystych przed naszym stolikiem, wciąż na odchodnym, a w miejscu czemś przytrzymywany. Chołoniewski, z tak zwykłym u niego

do końca życia uśmiechem żartobliwym, ozwał się nagle po włosku:

— Onorate l'altissimo poeta!...

Na te słowa Kasprowicz zerwał z głowy kapelusz i nisko nam się uklonił. A Chołoniewski jeszcze z naciśnięciem dodał:

— Żegnaj nam zatem, wielki poeto.

— Może byłbym nim — gorzko rzucił na odchodnym Kasprowicz — może, gdyby mnie nie przykuły do tacki!...

Po dziesiątkach lat, gdy to teraz rozważam, widzę, że słuszność miała Wyslouchowa, przeczuwając tak wesołonie, iż ten chłop z nad Gopla, kiedyś jak wulkan z siebie wyrzuci w potężnych hymnach wszystkie ogniwa żalu zakrzepły przez wieki pod skropą duszy ludzkiej. Że zaś ten zenit w twórczości Kasprowiczu przypadł właśnie na czas, kiedy poeta jeszcze nie wyzwolił się z dziennikarskiego warsztatu i oburącz pchał codziennie przed siebie taczkę „Kurjera”, — to dowód, że nie omyliła się, widząc w nim cechy genialności.

A teraz inne o nim wspomnienie. Cofam się pamięcią jeszcze dawniej, w lata studenckie. Widzę Kasprowiczu w sali ratuszowej

we Lwowie na zebraniu delegatów organizacji w sprawie obchodu jakiegoś rocznicy narodowej. Kilku z nas młodych poszło w deputacji prosić o udział w manifestacji do znanego patrioty, arcybiskupa Issakowicza. Mieliśmy na naradę do Ratusza przynieść odpowiedź. Otóż na audjencji był tam ze mną drukarz, a później redaktor Antoni Lech i młodziarz bardzo chorowity, Julian Pleśniak. Do niego zwraca się arcy-pasterz z wyrzutem, że choruje.

— Musisz przecie doczekać wolnej Polski.

A gdy na to młody suhoćnik tylko westchnął, obruszył się arcybiskup:

— Jakto, synaczki moje, tyle hałasu robicie o Polsce, a wątpicie sami czy będzie?...

— Ależ wierzymy! — wyrwał się w zapale.

— No, pamiętaj — rzekł wtedy — na Jej zmartwychwstanie hymn powitalny napiszesz. A ty — do drukarza się zwrócił — złóżysz go złotem i czcionkami!...

Pod wrażeniem tych słów arcykapłana, słynnego z kazań patriotycznych, pamiętam, wpadamy z powrotem na Ratusz. Zdając sprawę, jak nam dobrze poszło, nie mogąc utulić i niecierpie-

nego powiedzenia dostojnika o tem, że my jeszcze na własne oczy Polskę wolną oglądać mamy. Na to zrywa się Kasprowicz:

— Nie będzie Polski, bo jej sami nie chcemy!

Gromem padły w nas jego słowa. W słuch się zamieniały, bo mówi dalej, atoli z każdym zdaniem następem raczynamy go rozumieć, odczuwać i już z sympatią wpatrujemy się w piękną głowę z marsmem na czole przepołowionem kosmykiem włosów, w oblicze tryskające tężyzną zdrowia słowiańskiego kmiecia. Havelok z ramion mu związający dodaje pozy artystycznej na tle wielkiego okna. Słów oczywiście po tylu dziesiątkach lat nie potwór, ale myśli mówcy wnieśli odzwierciedlenie próbuje, bo mi w duszę zapadły na całe życie.

A zatem zdaniem Kasprowiczu, Polska wolna będzie nie wtedy, gdy ją nam odda zaborca, ale gdy ją sami w głębi swej istoty narodowej uwolnimy z wszystkiego obcego. Musimy więc sami chcieć, by się stała spowrotem polską, gdy tymczasem w iluż rzeczach nie jest nią z naszej winy, bo sami o to nie dbamy, nie chcemy, by przestała być pod jednym względem francuską czy angielską, pod innym rzymską czy bizantyjską, to znowu rosyjską lub niemiecką.

Nam się w życiu polskim zawsze czegoś zachciewa nie swoje. Inni marzą wcale nie o tem, by siebie poza granice własne rozszerzyć, by swoje cechy wszędzie indziej też wybić, swoje ja drugim narzucać. My zaś właśnie gotowi ustępować drugiemu tak dalece, że mu w siołańskiej gościnie, nawet nie bronimy, by u nas i w nas pozostawił ślady nie do pozacierania. Zadużo obcej na leciałości wpuszciliśmy tedy do swego domu, do życia publicznego, do myśli, do uczuć, do ducha polskiego. Gdy nadal będziemy pawiem i papugą narodów, mało w nas wreszcie zostanie z orłów. Tak jest ze styliz w budownictwie i urządzeniu domu, w ubiorze, stroju, tańcu i zwyczajach, tak z obrazem, posągami i książką, tak z teatrem. I gdyby poeta polski chciał sobie zdołać uznanie krytyki, albo zdobyć publiczność, nie mógłby tworzyć po polsku, tylko przejmować się kulturą obcą, indywidualnością cudzą, w danej chwili u ogółu w modzie.

— Więc kiedy zapewniamy, że Polskę mieć chcemy, to nieprawda — wołał Kasprowicz — bo nie domagamy się w niczem polskości, lecz sami we wszystkim sprowadzamy najazd obcy, z własnej woli oddajemy się pod zabór cudzy. Jak dzieciom podobają się nam zawsze czyjeś błyskotki. I zawsze wstydzimy się wyjść do ludzi w sukni własnej, bo pewnie już niemodna. Takie zaś holdowanie wieczne modzie światowej gotowo nas doprowadzi do tego, że kiedyś niepodległość Polski wyda się już niemodna.

Ale nam, to jeszcze nie całej Polsce, bo nas, którym to się tylko podoba co modne, są jeno tyśiące, tych zaś, co się bez mody wolę obywateli i wiekami obywateli — całe miliony. To polski lud. On Polski chce we wszystkim, wszędzie i zawsze, w kraju i na tulaćtwie. W nim Polska tkwi od tyśiąceci i dalsze tyśiąceci przetrwa. I my tylko sami, ciągle napierając się — jak rozrzymaszone dzieci — obcych błyskotek, przeszkadzamy mu w tem chętni Polski nie od święta, ale na codzień.

Odbija się to w naszej twórczości duchowej. Za wielką jest w nas przepaść między chętniem Polski w ludzie a w sferze inteligencji. Tę przepaść naieź, zasympać, by te dwie Polski zjednoczyć. Wtedy Polska będzie. A będzie, to nie tylko to, że w niej obcy przestanie gospodarzyć, bo tego zamało jeszcze, ale że będzie w niej gospodarzem duch polski.

Takie myśli, lat temu 40 i kilka rzucał Kasprowicz w gronie kilkunastu osób na Ratuszu lwowskim.

Spec podróžopisarstwa czyli niewołane mrówki M. B. Lepeckiego

Bujnie rozwijająca się literatura podróżnicza w Polsce, oczekiwała się nareszcie rzeczoznawcy, mentora i wychowawcy. Nie będzie się już błąkać po bezdrożach stylu, narracji i konstrukcji. Jeden z mniej znanych, ale zato bardzo pewnych siebie podróżników naszych, p. M. B. Lepecki, trudniący się od dłuższego czasu wystawianiem swym kolegom cenzurę na łamach „Wiadomości Literackich”, ogłosił w ostatnim numerze tego pisma krótką i niezawodną receptę na książkę podróżniczą:

„Gdy kto chce być pisarzem podróżniczym, musi mocno trzymać się w cuglach i nie pozwalać sobie na zbytnią łatwość. Każdy wie, że łatwiej przytoczyć jakąś rozmowę, aniżeli dać zwarty, rzeczowy opis, ale podróżopisarz powinien pamiętać, że rozmowa jest często przypadkowa, opis zaś zawsze typowy dla danego kraju. Książka podróżnicza musi mówić o kraju opisywanym, a nie o gustach autora”.

Kto, nie będąc z zawodu krytykiem, ale właśnie autorem podróżniczym, wygłasza z taką stanowczością i apodyktycznością teorię literatury podróżniczej w stosunku do innych, ten zapewne przetrwał ją do gruntu w swoich własnych utworach i reprezentuje jakąś arcyklasę pisarską. To też gdy się przeczyta taki buńczuczny passus w recenzji M. B. Lepeckiego o książce innego autora, z ciekawością sięga się po pierwszą z brzegu książkę podróżniczą właśnie Lepeckiego.

Więc n. p.:

M. B. Lepecki: Oceanem, rzeką, łądem. Przygody z podróży po Argentynie. Warszawa 1929. Tow. Wyd. Rój.

Ponoć jedna z najlepszych książek tego autora.

Zaraz w pierwszym rozdziale przekonujemy się, że znów w praktyce nie stosuje p. Lepecki tak surowo swej teorii o nieopuszczalności notowania w książce podróžniczej „przypadkowych rozmów”. W chełpliwym wstępie, opowiadającym ile to osób miało ochotę jechać razem z p. Lepeckim do Argentyny, aż cztery strony zajmuje rozmowa z pewną panią, która zjawiała się w mieszkaniu p. Lepeckiego, rozglądając się po nim „z ciekawością dziewczęcia odwiedzającego po raz pierwszy w życiu mieszkanie swego kochanka”, i zaproponowała mu swój udział w podróży. Może ta przypadkowa rozmowa znalazła się w książce dlatego, iż tak nas zapewnia p. Lepecki, paniąka była ładna. „Mówiły o tam! duże oczy, małe purpurowe usta, świeża cera i wdzięk dziecka”.

(Str. 10). O ustach tej paniąki jeszcze raz pisze p. Lepecki na str. 13-ej, określając je jako „śliczne, acz nieco nazbyt wymowne”.

Nie trzeba się jednak zrażać tą początkową rozbieżnością między teorią podróžopisarstwa p. Lepeckiego, a praktyką. Może dalej będzie lepiej. Szukamy więc z niecierpliwością tak zachwalanych w teorii p. Lepeckiego „zwartych, rzeczowych opisów”.

Jest! Str. 17:

„Do Wiednia przyjechałem rano. Jeszcze mi się chciało porządnie, a że akurat jakieś szwabisko sprzeczawo apetyczne „wiurstl”, kupiłem ich kilka i natychmiast „spalaszowałem”, popijając piwem. Albo „wiurstl” były z niewieźego mięsa, albo ja nie byłem do nich przyzwyczajony, doś, że już w krótkim czasie zaczęły mi się w charakterystyczny sposób przypominać, aż wróciłem zachorowałem”.

Niech ktoś teraz powie, że opis nie jest zwarty i rzeczowy! No i jaki niezbędny! Taki ważny fakt, że p. Lepeckiego rozboleł w Wiedniu brzusek, miałby z tego niewieczny?

Tym bólem brzuszka zawdzięcza Zurich, że znakomity podróżnik zatrzymał się w tem mieście i zaszczycił go również swym „zwartym, rzeczowym opisem”.

„Miało jak miasto — powiedział jakiś prowincjonalny turysta, zwiedzając Warszawę. Kubeł kubeł nabył to samo powiedzieć o Zurichu — miasto, jak miasto. Czyste, porządne i „ujutne” (przymilne), poza tem nic więcej”.

To jakoś niewiele, ale zaraz następuje rewelacja:

„Leży w niemieckiej Szwajcarii, więc też wszędzie niemal wyłącznie wiedzą niemieckie napisy i słychać niemiecki język”.

Koby to pomyślał! W niemieckiej Szwajcarii i wszędzie niemieckie napisy i niemiecki język!

Z spostrzeżeń socjologicznych autora na uwagę zasługują takie n. p. że „Szwajcarzy muszą być bardzo dobrzy i łagodni, skoro nawet trochę się o wróble, karmiąc je w ogrodach publicznych”. Nigdzie na całym świecie nikt

wróbli nie karmi — a w Szwajcarii karmią. Nie w kij dmuchał. Z spostrzeżeń gospodarczych p. Lepecki notuje, że jajecznicza z czterech jaj kosztuje w Zurichu 3 franki. Bardzo ważne.

No i dowiadujemy się coś nie coś o gustach podróżnika, co prawda wbrew teorii p. Lepeckiego, że książka podróżnicza nie powinna mówić o gustach. Są to w dodatku — gusta małżeńskie:

„Ze złośliwą przyjemnością zaobserwowałem, że Szwajcarki, aczkolwiek mają wygląd czegoś niepomiernie zdrowego(!), co daje im wiele uroku, są jednak brzydkie. Patrząc na nie i przypominając sobie kobiety wszystkich krajów, po których podróżowałem, przyrzekłem sobie sobie, że ożenię się tylko z Polką. Tak, tak, niema to, jak nasze rodaczki!” (Str. 20).

Zatem rodaczki, radujcie się! Pan Lepecki ożeni się tylko z Polką. Nie on jeden zresztą. Kie-pura, jak wiadomo, także.

Z Zurichu pojechał p. Lepecki do Paryża. Choć powiada, że o Paryżu niema już co pisać, bo już wszystko napisano, dodaje jednak od siebie kilka niezmiernie cennych i historycznych doniosłości spostrzeżeń i faktów: że w hotelu zapłacił 20 franków za do-bę, że był w „nocnym kabarecie” („nic nadzwyczajnego, takie sobie warszawskie „Qui pro quo” tylko trochę więcej nagości”), że nie podobał mu się francuski zwyczaj napiwków, i że w Paryżu (o dziwo!) jest tak duży ruch samochodowy, iż trudno przejść przez ulicę. Tu dla przyszłych śmiałych podróżników, którzy chcieliby się zapuścić w dżunglę paryską, daje p. Lepecki beczenną wskazówkę:

„Najlepiej porzekać, aż policjant zatrzyma nieskończony sznur pojazdów i przepuści pieszą publiczność. Inaczej, łatwo się narażać na kalectwo, albo zgola śmierć” (Str. 22).

W Paryżu odwiedził jeszcze p. Lepecki magazyn „Lafayette”, w którym „można kupić wszystko: zarówno guziki do kalesonów, jak i najnowszy model szapoklaka”

Już ukazało się na półkach księgarskich

drugie wydanie

„Karjery Nikodema Dyżmy”

T. Dołęgi-Mostowicza

Stop.